№ 21. Warszawa, dnia 23 (11) Maja 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

LW.

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Warszawa, w Maju 1896 r.

Jesteśmy tedy wobec pełnego rozkwitu wiosny kalendarzowej i wobec bardzo skąpego faktycznego szafunku darów tej młodości roku, jak ją nazywa poeta.

Na bruku miejskim łatwo jest dosyć o wmówienie w siebie, że to opóźnienie ciepła, te słoty i przymrozki niebawem przecież skończyć się muszą — że po nich zaświeci nam słońce tem wspanialej, roślinność zazieleni się tem bujniej— że jednem słowem wszystko da się powetować jak najlepiej i zakończy jak najpomyślniej, jak to bywa w książce albo na scenie.

Tam, po za murami miejskimi o suggestye tego rodzaju trudniej człowiekowi daleko. Tam, i ci, którzy naukowo objaśnić sobie mogą znaczenie okresów wegetacyjnych, i ci, którzy to znaczenie instynktem tylko odgadują, wiedzą dobrze, że opóźnienie robót tak wielkie jak w roku bieżącym na przykład, w żaden sposób nagrodzić się nie da — że co stracone to stracone nieodwołalnie — co przepadło z tegorocznych nadziei, to przepadło na cały długi rok gospodarski, i że ten bieżący 1896-ty znowu czarnym znakiem po szeregu całym lat niepowodzeń i klęsk, podkreślić chyba wypadnie.

Kamień Syzyfa wykonywa, jak widać, jeden jeszcze ze swoich ruchów wstecznych, a setki tysięcy rąk omdlewających w trudzie bezowocnym oczekuje na swój wyrok ze strony nieubłaganego przeznaczenia, i na swoje brzemie oskarżeń o nieudolność dziedziczną, tradycyjne lenistwo, i co za tem idzie o konieczność odsądzenia od tak zwanej biesiady społecznej. Nie byłaby też ta klęska zadana przez siły wyższe tak zupełną, gdyby czary zawodów nie dolewano goryczą głupowato-urągliwego szyderstwa — gdyby spustoszeniom jakie w tej gałęzi pracy ludzkiej rok każdy dokonywa, nie przypatrywano się jako jakiemuś procesowi rozkładowemu, kierowanemu ręką niepomylnej sprawiedliwości.

Dajmy pokój tymczasem tym smutnym objawom; nie od wczoraj dopiero ukazały się one na widnokręgu naszego wewnętrznego życia — nie w blizkiej chyba przyszłości załatwi się z niemi opinia, a więc zanim ten zwrot pożądany nastąpi, poślijmy w te zakątki odległe wiadomość o tem, co u nas w ciągu miesiąca ujawniło się z ludzkiej działalności dodatniej — czem wolno nam pocieszyć siebie i czytelników naszych, a jeśli się tam znajdzie miejsce i dla minusów jakich na końcu, to już chyba ze względu, żeby nam milczenia naszego na rachunek aprobacyi nie policzono kiedyś.

W pierwszym rzędzie prac pożytecznych chwili, pomieścić nam wypada koniecznie nowy plan i kosztorysy domu dla robotników, systemem koszarowym budowanego. Nie wchodząc w to, czy obecny projekt p. Jabłońskiego odpowiada ostatecznie wszelkim wymaganiom lub nie, streszczamy go z całą skwapliwością w przekonaniu, że wszystko co się po cegiełce znosi do udoskonalenia pomysłu, wychodzi rzeczy samej na pożytek niezaprzeczony.

P. Jabłoński wyszedł z założenia, że w wielkich ogniskach ruchu fabrycznego i przemysłowego, bez tych koszar robotniczych obejść się stanowczo nie można. Nie odrzucając zatem innego rodzaju projektów, kreśli tym razem typ domu koszarowego. Ponieważ dotychczasowa metoda budowania mieszkań małych, polegała na rozmieszczaniu szeregu kompartymentów po dwóch stronach długiego jakiegoś korytarza, a korytarze takie z konieczności muszą być źle oświetlone, a gorzej jeszcze przewietrzane, przeto proponuje p. J. zastosowanie systemu wprost odwrotnego, a mianowicie: korytarz i wschody z zewnątrz.

Mieszkanie takie składać się ma z małego przedpokoiku, kuchenki i pokoju obszernego wraz z temi wszystkiemi udogodnieniami, które dzisiejsza hygiena za obowiązujące dla możnych zarówno, jak dla ubogich uznaje. Otóż z wyrachowania okazało się, że przy kapitale na 4 procent obliczonym, mieszkanie tego rodzaju, jeśli zawierać będzie 28 sążni sześciennych powietrza, zredukuje koszt sążnia do 5 rubli.

Jest to dużo, a nawet bardzo dużo; 140 rubli rocznie za mieszkanie płacić może tylko człowiek mający 900 rubli dochodu rocznego, a zatem w żadnym razie nie będzie to robotnik fabryczny, z czego się znowu ten smutny wniosek wyprowadzić daje, że nasza idealnie nizka stopa 4-ro procentowa, bynajmniej nie jest dostatecznie nizką, i że przy jej pomocy o tanich a zdrowych mieszkaniach dla ludności ubogiej myśleć jeszcze nie można.

A zatem za innymi środkami obejrzeć się będą musieli ci, którym to dzieło niesłychanie ważnej reformy leży na sercu. Byle tylko nie ustać, byle nie dać za wygraną i nie puścić sprawy w odwłokę, aż do lepszych czasów, jak się to mówić zwykło. Te czasy mogą być bardzo odległe, a co się przez ten okres wychowa dzieci wątłych, cherlawych i nieuzdolnionych do walki życiowej, to już z pod wszelkiego rachunku wymykać się musi, pozostawiając jakieś tylko mgliste, nieujęte a posępne horoskopy dla przyszłości.

Skoro już mówimy o losach ludności fabrycznej i przemysłowej, nie możemy pominąć pozwolenia, jakie otrzymał p. Edward Świecimski nauczyciel, na otwarcie w Warszawie niższej szkoły technicznej o trzech oddziałach: chemicznym, mechanicznym i budowlanym.

Rozwój przemysłu fabrycznego gwałtownie dopomina się o tego rodzaju szkoły przygotowaw-

cze, o tyle więc, o ile się tej potrzebie zadość czyni, zażegnywa się widmo nędzy, którego trupie oblicze coraz przykrzej odbija na tle pozornego dobrobytu, a my tak chętnie zwykliśmy łudzić w ten sposób siebie i drugich.

Na szczególnie sympatyczną wzmiankę zasługują, zdaniem naszem, usiłowania Muzeum pszczelniczego, które uzyskawszy odpowiednie pozwolenie władz, otwiera wykłady pszczelnictwa, ogrodnictwa i jedwabnictwa zarazem Co się tyczy tego ostatniego, zdania są dotąd podzielone do tego stopnia, że o ile jedni propagują je i zalecają najżarliwiej, o tyle drudzy użyteczność tej gałęzi przemysłu kwestyonują, albo jej wprost nawet gruntu realnego odmawiają. Nie tak się rzeczy mają z ogrodnictwem i chodowlą pszczół, które bez żadnej wątpliwości mogą przy umiejętnym kierunku stać się znakomitymi zasiłkami dla rolnictwa, szamocącego się za dni naszych wśród niemożebnych istotnie trudności i przeszkód. Nadto sposób w jaki się Muzeum pszczelnicze do dzieła zabiera — to, połączenie w jednej osobie pielęgnującego pszczoły i zajmującego się ogrodem, uważamy za najtrafniejsze ze wszelkich względów, podczas gdy do tej pory pszczolnictwo pomijanem u nas było prawie zupełnie, a ogrodnictwo traktowanem jako przedmiot, którego zgłębienie wyrównywało mniej więcej studyom lekarskim lub prawnym. Szczególną zdaniem naszem uwagę zwrócić te wykłady powinny kobiet młodych na wsi zamieszkałych, dla których zajęcie się umiejętne ogrodem i tem wszystkiem co z nim w związku zostaje, jest odpowiednie, dostępne i pociągające w najwyższym stopniu.

Cóż więcej? — zapytacie czytelniczki.

Z wiadomości mogących zainteresować umysły poważniejsze, zanotować nam wypadnie otwarcie wystawy hygienicznej — z takich, któremi się zaprzątają ci wszyscy, co się uwzięli, aby z powagą nie mieć nic wspólnego, wspomniećby można o wyścigach wiosennych z nieodstępnym totalizatorem; z wiadomości literackich godziłoby się coś powiedzieć o słabym bardzo ruchu wydawniczym a z dziennikarskich, niestety o niekończących się nigdy sporach i kłótniach zaostrzonych tym razem niezaprzeczonej tragiczności epizodem.

Spory — powiecie, ale cóż ostatecznie tak złego dopatrywać można w sporach i polemikach? Wszak spory urabiają opinią, pozwalają obliczyć się z kwestyami bieżącemi i obliczyć między sobą — z tych sporów wytryska prawda i t. d., i t d.

Niestety z tych, o których nam dzisiaj mówić wypada, nic się nie rodzi, i nic nie wytryska; to są kłótnie trywialne nie mające nic wspólnego z zasadą jakąkolwiek, jałowe sprzeczki, czepiania się osobistości namiętne, upędzanie za skandalem i napaści na dobrą sławę ludzką.

Znacie niewątpliwie czytelnicy zkąd inąd smutne starcie, zakończone śmiercią młodego człowieka; my dzisiaj nie widzimy potrzeby odświeżania go w pamięci waszej i jeśli coś w tej sprawie jest do powiedzenia, zanim sprawiedliwość swoje słowo wyrzeknie, to chyba to jedno, jak się na niego opinia publiczna zapatruje.

Opinia? zapytacie, ale jaka?

A więc najprzód wam powiemy co mówi ta fałszowana, szczera, uczciwa, — ta nieprawdziwa opinia jednem słowem.

Ta więc o której jedynie radzibyście się dowiedzieć, ubolewa szczerze nad wcześnie złamanem a następnie tragicznie przerwanem życiem młodem, nad nieposzanowaniem w druku żadnych względów i żadnych granic, nad pastwieniem się bezkarnem, którego ofiarą bywa u nas słabszy, i nad swawolą słowa, która pozwala sobie bawić się nazwiskiem człowieka, jak gdyby nazwisko nie było czemś najmocniej nietykalnem — czemś takiem, w obronie czego, człowiek niestarty i niezbrudzony do ostateczności, zawsze gotów zaryzykować życie.

Wyroków drukowanej opinii nie możemy wam przytoczyć w całości, bo wiele głosów tyle zdań odmiennych się objawiło narazie, a znalazły się i takie, które samowolnemu wymiarowi sprawiedliwości, a raczej aktowi gwałtu, niemal całkowicie przyklasnęły.

Wprędce odwróciły się sądy od faktu samego i przeszły do gorzkich żalów nad skandalem w literaturze i dziennikarstwie, a o tych znowu żalach i ubolewaniach, w tym duchu wyraża się jedno z pism: Właściwie mówiąc skandalu w literaturze ani dziennikarstwie nie ma żadnego, a to co żyje skandalem, nie zasługuje na miano dziennikarstwa ani literatury. Jeżeli zaś widzimy podobną karmę duchową zastawianą przed ogółem, to pokazuje się, że ogół pożąda tego (?) albowiem:

„My jesteśmy narodem mało oświeconym; nie mamy urocznych tradycyj nauki i zamiłowania do badań, — nie przywiązujemy trwale myśli do wielkich zagadnień — nie wytworzyliśmy sobie atmosfery artystycznej; my jesteśmy społeczeństwem złożonem z ciemnego ludu, sfanatyzowanej i nieukształconej szlachty, zmateryalizowanego mieszczaństwa i zwyrodniałej arystokracyi.”

To się nazywa być treściwie bezstronnym! Wszak prawda? Co ważniejsza jeszcze, że to samo pismo o parę wierszy poniżej w tym samym nb. artykule, wspomina o śmierci niemieckiego historyka Treitschke'go i tak się znowu o nim wyraża:

„Oprócz Niemców a zwłaszcza Prusaków nienawidził wszystkie inne narodowości, a *nas* swojem piórem utatuował potwornie...”

Domyślamy się, że czytelniczki zapłoną chęcią zapoznania się z dziełami niemieckiego przyjaciela, bo jeśli ten, który nas w przytoczonych wyżej słowach tak utatuował sam, tamto tatuowanie Niemca nazywa potwornem, to ono istotnie ciekawem być musi.

W każdym razie pretensye do Treitschke'go byłyby niesłuszne.

A. S.

St. Eziel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Na świecie już się mroczyło. Między wysokimi, zwartemi szeregami kamienic zalegały pierwsze cienie wieczoru, lubo w górze stał bladozielonawy jesienny błękit nieba, na zachodzie żółtemi smugami przetkany.

Ada skręciła w boczne, spokojniejsze ulice i szła żywo, na otoczenie obojętna, w przestrzeń zapatrzona.

W duszy jej zerwał się ów ptak, co często w człowieku drzemie, ale często i budzi się nie wiedzieć na jaki dźwięk, a trzepotem skrzydeł zdolen zagłuszyć wszystkie szumy i rozgwary — ptak sumieniem zwany.

Czysty, jasny ton, tych dwu kobiecych serc, prostych i tkliwych, stał się dla niej jakoby owem zapadnięciem ciszy, które ludzi do wrzawy przyzwyczajonych ze snu obudza.

Widok Niuty przy matce, przywiódł jej przed oczy widok innej dziewczyny w żałobie, z twarzą ufną, szczęściem rozjaśnioną, też garnącej się do matki kochającej i kochanej.

I nagle z mgły uczuć, jaka ją przez te dni obsiadała, z niezadowoleń zagmatwanych, wybił się wyraźny głos: „To nieuczciwość, niegodziwość wydzierać jej szczęście, miłość ukochanego, i po co? po co?”

Wprawdzie natychmiast podniósł się chór innych dowodzeń, wybiegów, zamydlań, przypuszczeń, ale głos tamten przebijał wrzawę, powtarzając krótko: „Jednak to źle, źle!... Oszukujesz jego i siebie!”

Ada ulgi doświadczyła i odetchnęła swobodniej. Gdy wszakże poczęła tę prostą i szczerą myśl usunięcia się obrabiać po swojemu, przetapiać ją w szeregu scen rozmaitych, to widziała już zawczasu walki Jaunsza, opór, a podziw nad jej zrzeczeniem się — i w końcu chaos cały napowrót w sobie wznieciła; ptak trzepocący w duszy, skrzydła stulił, po grzbiecie kładł, głos przycichł, a w niej pozostał znów rozgwar, jakby szum zmąconych wód po wylewie — i nie powzięła żadnego postanowienia, ani w dniu tym, ani następnych.

Tymczasem Janusz przysyłał raz po raz krótkie listy, które aż nadto zdradzały rozstrój ducha i owo zgorączkowanie, wywołane fałszywem położeniem, w jakiem stawiała go przedłużająca się choroba pana Roger.

Lecz Ada nie wiele nad tem się zastanawiała, bądź z tej przyczyny, że chciała pomijać ów głos sumienia, bądź dlatego, że inne sprawy silniej pochłaniały jej myśli. Oddawała się z zapałem projektowanemu przez panią Darską teatrowi amatorskiemu, i studyom nad socyologią, którą wykładał młody, nader poważny prawnik. Oprócz tego niemało czasu zabierały jej lekcye rzeźbiarstwa, zorganizowane nareszcie za przyczyną energicznej panny Kostuni Jamickiej, która rozgorzawszy chęcią zdobycia sławy Fidyasza, do ostatecznych układów z Pietrem Vico popchnęła.

Posiedzenia te odbywały się w pracowni mistrza, wielce urozmaicone niewyczerpaną jego rozmową.

Jednakże Kostunia, w gronie znajomych „Osunią” nazwana dla ostrego języczka i wciętej, ruchliwej figurki, wnet wyświdrowała swemi skośnemi oczkami i zadartym noskiem, iż Pietro pała niezwykłem dla Ady uwielbieniem. Ztąd powstało między niemi gorące współzawodnictwo, nietylko w zakresie modelowania z gliny. Ada nie omieszkała wszakże zazdrości koleżanki łagodzić.

— Widzisz, z artystami to rzecz całkiem inna niż ze zwyczajnymi ludźmi — jęła raz przekładać. — Oni tak nawykli wszędzie upatrywać pięknych rysów, szczegółów, lub cech charakterystycznych, a sąd wypowiadać bez ceremonii, że

często wobec żywych zapominają się i zachowują jak wobec portretów i martwych posągów. Tylko patrzeć jak „mistrz" będzie prawić ci pochwały o ślicznej rączce i uszku różowem jak mała muszelka, i będziesz musiała nawet nie poczytywać tego za komplimenta.

Jakoż „Osunia" uspokoiła się, cała zajęta przechylaniem główki profilem i obrotami zgrabnych paluszków. Ada zaś, powyższem tłómaczeniem tumaniąc siebie równie dobrze jak towarzyszkę, już bez rumieńca przyjmować poczęła gorące słówka ze strony Pietra.

Gdy wszakże razu jednego tak się złożyło, że sama na posiedzeniu się znalazła, znów objęło ją pewne zakłopotanie.

Przyszła, bo przyszła — bo nie chciało jej się lekcyi opuszczać, może i ciekawość ją wiodła, jak to im będzie we dwoje, a nie potrzebowała jak panna Jamicka wystawać w kościele, na cześć jakiegoś nieboszczyka. Ale czemu Pietro zdał się tkliwym wzrokiem dziękować jej za to, że się od owego przyjścia bez koleżanki nie uchyliła?

— Mężczyźni wszyscy, żeby najmędrsi, najszlachetniejsi zawsze są głupcami, zawsze skłonni przypuszczać, że każda na lep lezie — myślała zrazu gniewna. — Ale jak to pokazuje się, trzeba ostrożnie być z pozorami!... O, Janusz niezawodnie poczytałby mi za niestosowne bytność tutaj, jak u Ockiego.

Na to roześmiała się w duchu.

A potem znów przypomniała sobie, iż Pietro, pokazując jej kilka dzieł stworzonych w czasie wakacyjnych miesięcy, aż nadto wyraźnie dał jej poznać, że powstały pod jej natchnieniem i nazwał ją przytem „przebiałą duszą," wskutek czego najsilniej zaczerwienił się z zazdrości nosek „Osuni."

„Przebiała dusza" — no, nie czuła się tak bardzo godną tej nazwy, sama byłaby się raczej ochrzciła „różnobarwną" lub „tęczową." Lecz uważała za stosowne do tego miana się nastroić i nie zdradzać, że wzruszenie jego postrzega.

Uprosiwszy zatem Pietra, by pozwolił jej modelować głowę na wzór jednej ze swych kompozycyj, a chcąc przewyższyć Kostunię, z którą dotąd w równej mierze posuwały się w nauce, poczęła ręce zagłębiać w dzieży pełnej gliny, i warstwy narzucać na osadzoną na podstawie bryłę, z której miało powstać pierwsze jej większe dzieło.

Przy robocie tej zgoła nie oszczędzała delikatnych palców, i prawie ciągle stojąc, chwilami tylko przysiadała na nizkim stołeczku; Pietro zaś, tuż obok, słowem kierował ruchami jej rąk niewprawnych.

Dzień był jasny: od słońca i śniegu. Raz po raz jednak chmury zakrywały niebo. Do pracowni tedy przez duże okna wnikały to błękitnawe refleksy od cieniów padających na ziemię, to wdzierały się jaskrawe snopy złotych promieni, co razem, mimo dnia Listopadowego przypominało wiosenne roześmiechanie się natury.

Dwoje zaś tych ludzi obok siebie przedstawiało też jakby obraz zimy z wiosną; zwłaszcza, że jego twarz w dziennem świetle, a przy srebrnym włosie wydawała się zmęczoną, szarą i wyblakłą; ona przeciwnie kolorytem świetna, wyrazem figlarna, okryta w dodatku niebieską bluzą, która osłaniać miała suknię przed zniszczeniem, wydawała się w tym stroju świeżą i rozkoszną, na podobieństwo modrych bławatków, na polach zerwanych.

Rozmowa przy pracy nie ustawała.

Ada wypytywała mistrza o różne szczegóły, a w końcu o to, jak dawno rzeźbiarstwu się oddaje.

On też do dzieciństwa sięgnął po wspomnienia, i opowiedział, jak już w dziewiątym roku życia rzucił się na pierwsze próby, chcąc wyrzeźbić twarzyczkę ukochanej przedwczeście zmarłej towarzyszki, z którą po całych dniach bawili się w piasku na wybrzeżu, mieszkając nad Wisłą.

— Nie dokonałem niczego, próżne usiłowania dały mi jedynie pojęcie o tych okropnych walkach ducha pasującego się z niemocą tworzenia. Lecz ta chęć dokonania czegoś, a rozpacz, były mi pierwszym impulsem do pracy i dążeń. Później zaś coraz lepiej poznawałem, w jakiej głębi serca i duszy człowieka musi brać początek wszystko, co ma być jego dziełem, i jak całą potęgę z siebie wykrzesywać trzeba, gdyż nauka może tylko udoskonalić zewnętrzny kształt własnych widzeń, myśli i polotów.

— I nigdy nie próbował pan choć z pamięci wymodelować popiersia tamtej małej? — spytała Ada.

— Nie, pani, poprostu bałem się, by nieudolną ręką nie popsuć i nie zniweczyć jej wspomnienia, które mi tak pozostało czystem i drogiem — odparł Pietro.

I dalej tłómaczyć począł, że przyjaźń z małą Antonią dlatego zawiązała się tak serdeczna, iż dziewczynka pochodząc z licznej ubogiej rodziny przewoźnika, była bez opieki, a on też po całych dniach wałęsał się samotny. Ojciec bowiem, handlarz figurek gipsowych, sprzedażą zajęty, wieczorami tylko, zwłaszcza w zimie, siadywał w domu, i wtedy bawił ich oboje opisami rodzinnych Włoch, zkąd uciekł po śmierci żony. A oni, tymi obrazami z rzeczywistej przeszłości rozmarzeni, jak zaczarowaną baśnią, układali sobie, iż do owej cudnej Florencyi razem się wybiorą, gdy podrosną.

— Jak ja płakałem po śmierci tego dziecka i jak uwierzyć nie mogłem, że więcej do mnie ona nie przemówi, to pani wyobrazić sobie nie może — powiedział Pietro ze szczerem przejęciem.

— Ale ostatecznie, przez kobietę i dla kobiety, już jako w chłopcu zbudził się w panu artysta — zwolna rzekła panna Smieńska.

Vico zwrócił na nią oczy z wielkiem ożywieniem myśli, która widocznie oderwała się naraz od wspomnień.

— A tak, pani, i to bardzo proste i zwyczajne — odpowiedział. — Bo my poprzez kobietę widzimy świat, poprzez tęsknotę za nią, czujemy, przez miłość dla niej, tworzymy. Dlatego też niepokalaność jej duszy, wielkość jej serca, to taki skarb! to poprostu widomy wyraz dla naszej wiary w dobro, i to nasza światłość i szlachetność. A jej nikczemność, naszem przekleństwem. Nic bowiem nie potrafi tak wgryść się w całą istność mężczyzny, jak kobieta, i tak zdeptać człowieka, zniweczyć moralnie lub podnieść, jak ona — mówił i zatrzymał się, jakby porządkując jakieś myśli.

A po chwili dodał:

— To też mimo czci lub szału dla kobiety, trzeba umieć kochać coś, co nieśmiertelnem jest, jak sztuka; umieć tonąć w jakiejś nieskończoności, oto w wierze w Boga; a gruntu pod nogami szukać w przywiązaniu do ojczyzny, które jak dogmat religii nigdy nie zawodzi, dając niespożyte, trwałe oparcie.

Mówiąc to Pietro chodził po pracowni i żywo gestykulował rękoma.

Ada przeciwnie, siedziała nieruchomo i bezczynnie.

To był znów świat uczuć, w który nie umiała wstępować własnem sercem, jakkolwiek pojmowała go inteligencyą. Świat, któremu się tylko przypatrywała i dziwiła.

Chciała wszakże nawiązać rozmowę przerwaną.

— A ja nieraz i nad tem się zastanawiałam— zaczęła więc po chwili, — dlaczego najczęściej kobiece postacie służą do alegoryi?

— Bo przeważnie my, mężczyzni, tworzym, a jak mówiłem: czujemy przez was — odparł Pietro z poprzednim zapałem.

Poczem ku niej podszedł.

— Bo zresztą — mówił dalej, — wy dajecie nam idealniejszy kształt dla natchnień niż mężczyzna, dajecie poprostu czarowność kształtów i takie piękno, takie piękno form, nad które nic doskonalszego mózg wymyśleć nie może — dokończył, przysiadając obok, a wzrokiem już wyraźnie wypowiadając: „A boś ty sama nie doskonałością i zachwycającem pięknem?"

Ada spłonęła i poruszyła się, jakby chcąc powstać z owej nizkiej ławeczki, na której spoczywając, wyglądała jak dziewczynka. Lecz co mówić jeszcze, nie wiedziała.

Wtem słońce od jakiegoś czasu ukryte, z za chmur wypłynęło, rozbłysło, i strumień jasności rzuciło wprost w jej oczy.

Mimowolnie też ku niemu zwróciła uwagę.

— O, słońce! — zawołała. — Jak ja lubię słońce w zimie!.. Bo w lecie, gdy tak dzień za dniem świeci jakby z urzędu i z musu, to co prawda, nudzi mi się taka ciągła pogoda!

Pietro zatrzymał na niej wzrok i półgłosem szepnął:

— Ach, dziecko! dziecko!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z nauki czystej i stosowanej.

Po kilkunastu latach względnego zastoju w naukowym świecie zrobił się silny ruch, wywołany odkryciem Röntgena.

Przed kilku tygodniami zapoznaliśmy w krótkości nasze czytelniczki z promieniami X.; przez ten czas poznano lepiej to zjawisko, wydobyto na jaw sporo ciekawych faktów.

Najprzód tedy przekonano się, że dla otrzymania tych ciekawych drgań niekoniecznie jest potrzebną rurka Crookesa, z powietrzem rozrzedzonem do jednej milionowej ciśnienia normalnego; bardzo dobre rezultaty otrzymuje się przy pomocy zwyczajnej lampy żarowej elektrycznej, w której próżnia nie jest tak doskonałą.

Zbyteczne są także potężne cewki, albowiem pan Służewski, nauczyciel fizyki w Łodzi, otrzymał zdjęcia z iskrą dwucentymetrowej długości, wydobytą z niewielkiej cewki.

Pan Henry z Paryża posunął rzecz jeszcze dalej, gdyż dowiódł, że fotografie przez ciała nieprzezroczyste można robić zupełnie bez współudziału elektryczności. Dość jest w tym celu po-

siłkować się siarkiem cynku, który fosforyzuje w ciemności zielonawem światłem. Ciało to, otrzymane sztucznie w kryształach i nazywane wtedy blendą heksagonalną, kładzie się na ręce, pod nią umieszcza się kliszę fotograficzną w kasecie, i po upływie pewnego czasu otrzymujemy zdjęcie szkieletu dłoni.

Pacyent może się przytem swobodnie poruszać, chodzić, leżeć, jeździć, jednem słowem, nie jest niczem skrępowany.

Pan Moreau znów przedstawił francuzkiej Akademii swe doświadczenia, w których fotografował promieniami Röntgena bez iskier i bez rurki Crookesa, przy t. zw. egrecie pozytywnej, która powstaje na biegunie dodatnim cewki Rhumkorffa, jeżeli elektryczność nie może się wyładować w postaci iskry.

Egreta, albo inaczej miotła elektryczna, świeci blado niebieskiem światłem, które snać zawiera także promienie Röntgena.

Nietylko fosforescencya ale i fluorescencya, może być źródłem tajemniczych promieni X. Zwyczajna rurka Gajslera, umieszczona w roztworze fluoresceiny, daje te same wyniki co i siarek cynku.

Udało się także skrócić do kilkunastu sekund ekspozycyą, która trwała półtorej a nawet dwie godziny przy starych metodach.

Dokonano tego bądź przez umieszczenie po za kliszą substancyi fluoryzujących, bądź przy pomocy magnesu, wytwarzającego pole magnetyczne, prostopadłe względem promieni katodalnych.

Na tej zasadzie, że pod wpływem promieni Röntgena pewne substancye fluoryzują, opiera się kryptoskop, przyrząd wynaleziony świeżo przez prof. Salviani'ego, przy pomocy którego można widzieć przedmioty zamknięte w nieprzezroczystych pudełkach, kości szkieletu i t. d.

Kryptoskop składa się z tekturowej, czarnej rurki, opatrzonej w jednym końcu denkiem, powleczonem substancyą fluoryzującą, w drugim zaś zaopatrzoną w soczewkę szklaną.

Salviani zamyka rurę Crookesa, lub siarek cynku w drewnianem pudełku, kładzie na niem drugie pudełko, zawierające przedmiot nieprzezroczysty dla promieni X., następnie spogląda przez soczewkę. Przedmiot staje się widzialnym, jako cień na jasno świecącem tle denka. Promienie X. przenikają z rury Crookesa przez drzewo i tekturę a zostają powstrzymywane przez metal, kość etc. i tam, którędy nie mogą przechodzić, denko nie fluoryzuje i zjawia się cień, będący sylwetką przedmiotu.

D-r Thompson poleca podwójny cyanek platyny i potasu, ponieważ ta substancya fluoryzuje najsilniej.

Kryptoskop pozwoli nam widzieć wnętrze ciała, szkielet ręki, metalowe przedmioty w biurku, pieniądze w portmonetce, nie uciekając się do fotografii.

Inny ciekawy niezmiernie fakt zaobserwował pewien uczony w Filadelfii w Ameryce. Zapragnął on odfotografować sposobem Röntgena szkielet myszy, złapał więc takową, i utopił ją, trzymając przez godzinę w wodzie, następnie nastawił przyrządy, zamknął mysz nieżywą w kasecie z kliszą fotograficzną, i poszedł sobie na obiad, gdyż ekspozycya miała trwać półtorej godziny.

Jakież było jego zdziwienie, gdy za powrotem spostrzegł, że mysz podczas jego nieobecności zmieniła położenie pierwotnie sobie nadane. Uczony wyjął więc po niejakim czasie zwierzątko, skoro to zaczęło dawać wyraźne ślady życia.

Co powiecie?! Mysz niebawem przyszła zupełnie do siebie, i obecnie cieszy się najlepszem zdrowiem.

Czy promienie X. mają własność pobudzania centrów nerwowych i powracania życia uduszonym stworzeniom?

Ów uczony zadał sobie to pytanie, i robi doświadczenia, aby rozstrzygnąć takowe. Gdyby rzeczywiście tajemnicze drgania posiadały tę zadziwiającą zdolność, to znajdowalibyśmy się wobec niesłychanie doniosłego odkrycia.

Możemy już fotografować szkielet żywego człowieka, postęp to niesłychany, ale tego nam zamało jeszcze. Zastanawiamy się, czy nie dałoby się także fotografować jego myśli.

Nonsens! powiesz piękna czytelniczko, wzruszając ramionami. Przepraszam bardzo—nie jestto bynajmniej kwestya niedorzeczna; przy dzisiejszym stanie nauki możliwa w zasadzie i w niedalekiej przyszłości zostanie ona zapewne rozstrzygniętą i to w sposób względnie bardzo prosty.

Pewien fizyk zrobił niedawno takie doświadczenie: patrzył przez dłuższy czas na jasno oświetlony przedmiot, poczem ustawił tuż przed okiem, czułą kliszę fotograficzną, i oto po wywołaniu ujrzał, że ów jasny przedmiot odfotografował się na kliszy.

Czegóż to dowodzi? Tego, że obraz przedmiotu trwał przez jakiś czas na siatkówce oka, nerwy drgały, jak pod wpływem światła i naświetliły kliszę. Analogiczne zjawisko zachodzi w fonografie, drgania głosowe zapisują się na woskowym cylindrze, i następnie zostają odtworzone przez drgającą błonę.

Jeżeli światło drażni nerwy, te drgają i przenoszą do mózgu obraz: odwrotnie; obraz, wywołany myślą w mózgu, wprawia w drgania takie same odpowiednie miejsca siatkówki, które z kolei działają na fotograficzną kliszę.

Czy to nie proste w zasadzie?

Nie będzie to jednak, ściśle rzeczy biorąc, fotografowanie myśli, lecz obrazów, wzbudzonych w wyobraźni. Sama myśl bowiem jest szeregiem obrazów konkretnych w stanie poprzedzającym zasypianie, i łańcuchem oderwanych pojęć, które zresztą także przedstawiają pewne określone, niezgodne ze znaczeniem swem obrazy. Abstrakcyę duch nasz wyraża w funkcyi konkretnej, jakby powiedział matematyk.

Oprócz tego znajdujemy w myśli wrażenia słuchowe, smakowe, węchowe i dotykowe. Po gruntowniejszem zastanowieniu się dochodzimy do wniosku, że i te pierwiastki dałyby się odtwarzać a raczej uczynić poznawalnymi przez osobę drugą.

Umieśćmy w zupełnej ciszy człowieka, obok bardzo czułego mikrofonu, każmy mu śpiewać w myśli i słuchajmy przez telefon złączony w jeden obwód z mikrofonem. Dźwięki odtworzone w mózgu, wprawią w ruch narząd słuchowy Cortiego, ten wywoła drgania w powietrzu, i jeżeli nasz mikrofon i telefon okażą się dość na to czułymi, to usłyszymy melodyę śpiewaną w duchu.

Chcąc w analogiczny sposób otworzyć inne wrażenia, dostarczone nam przez powonienie i pozostałe zmysły, musielibyśmy wynaleźć specyalne przyrządy, o których jeszcze zawcześnie byłoby mówić.

Wprawdzie nikt jeszcze nie odfotografował myśli, należy to zaznaczyć, ale stwierdzono, że to jest możliwem, gdyż przeniesiono na kliszę obraz, znajdujący się na siatkówce.

Czy ciało ludzkie może się palić?

Poważni badacze odpowiadają, że tak jest wistocie. Palność ciała żywego jest, jak się zdaje, zależną od indywidualnej predyspozycyi. Pijacy, nasyceni do szpiku alkoholem, szczególnie łatwo podlegają temu dziwnemu zjawisku, zapalają się, nietylko wprost przy zapalaniu papierosa np. lecz płoną wewnątrz, wyrzucając ustami dym i płomienie.

Fakt ten nie jest jeszcze przyjętym w nauce, lecz istnieje wiele przykładów, pochodzących ze źródeł wiarogodnych; sami znamy jeden.

W wypadku, kiedy przez nieostrożnego robotnika przejdzie silny prąd elektryczny, mamy do czynienia z paleniem się zewnętrznem. Ciało ludzkie jest jednak do tego stopnia palnem, że czasami podlega samopaleniu się, bez widocznej przyczyny, bez interwencyi iskry, albo wysokiej temperatury. Prace takich uczonych jak Vicq d'Azir, Dupuytren nie dopuszczają wątpliwości w tej materyi. Widziano części ciała, u osobników szczególnie do tego usposobionych, płonące ogniem, jak prawdziwe świece, tak, iż można było od niego zapalać inne palne przedmioty.

Ten świecący ogień, podług doktora Lagasqie, nie daje się ugasić wodą.

Doktór Breschet skonstatował, jak powiada, zupełne spalenie się ciała, z którego pozostał tylko lekki, porowaty węgiel, o nieprzyjemnym odorze, sadze, oraz kilka kawałków kolumny pacierzowej i czaszki.

Przypuszczano na razie, że temu dziwnemu zjawisku podlegają tylko osoby otyłe, lecz następnie przekonano się, że palą się i osobniki młode, zdrowe i wcale nie tłuste.

Jakie są przyczyny tej samopalności ciała ludzkiego? Nauka nie zbadała ich dotychczas. Kwestya to zupełnie ciemna dla fizyka, równie jak dla fizyologa.

Niewiele także wiemy o najwyższych strefach atmosfery, okalającej nasz glob. Jakie tam panują warunki fizyczne, jaką temperaturę znaleźlibyśmy o 20 kilometrów, lub wyżej ponad powierzchnią?

Szlaki te są zupełnie niedostępne dla człowieka. Berson w zaprzeszłym roku zdołał z największym wysiłkiem wznieść się do wysokości 9,000 metrów i to dzięki zapasowi tlenu, zabranego do łódki balonu. Wyżej dostać się, to dla nas czyste niepodobieństwo.

Jakże więc zbadać górne szlaki?

Przy pomocy balonów, puszczonych bez aeronautów, a zaopatrzonych w samozapisujące i samonotujące termometry, barometry, higrometry i inne naukowe przyrządy.

Takie balony-sondy wylatują dość często z Paryża i z Berlina.

Niektóre z nich dosięgły zawrotnej wysokości 14, 15 a nawet 16 tysięcy metrów, gdzie panuje temperatura 63 do 70 stopni.

Przekonano się, że na każde 182 metry wzniesienia termometr opada o jeden stopień.

Balon *Aerophile*, wypuszczony w dniu 22 Marca 1895 roku, pędził w górę z szybkością 6 metrów na sekundę, podróż trwała 3 i pół godziny, a droga bardzo mało wyszła po za prostopadłą linię, gdyż powietrze podczas doświadczeń było spokojnem. Na ziemi termometr pokazywał + 14° C., na wysokości 14,000 m. — 63.

Zdaje się, że tą drogą zdołamy poznać lepiej, aniżeli dotąd, olbrzymi ocean powietrzny, wraz z jego niedostępnemi głębiami, graniczącemi z międzyplanetarną przestrzenią, gdzie panuje, podług wszelkiego prawdopodobieństwa temperatura stu kilkudziesięciu stopni poniżej zera.

W. U.

M. R.

Drogą żelazną Warszawsko-Wiedeńską.

(Ciąg dalszy).

Wyraz mojej twarzy musi zdradzać doznane wrażenia, gdyż widzę pewne zadowolenie malujące się na twarzy mojej nieprzyjaciółki i coś jakby rodzaj tryumfu, że mnie wyprowadziła z pierwotnej apatyi. Podwaja więc pieszczoty i żarty z pieskiem. Szkaradne psisko!

Ażeby ją ukarać, składam mój dziennik, chowam go do bocznej kieszeni, a zasunąwszy się w głąb swego siedzenia, wyciągam nogi i do snu się zabieram. Żebym tak trochę zachrapał? Tak, tak, dobra myśl! Stanowczo chrapać będę. Znajdzie to niezawodnie ubliżającem dla swojej miłości własnej, której rozdrażnienie doprowadza do większych nieraz zboczeń niż sama miłość prawdziwa.

Chciałbym ją koniecznie upokorzyć. Nie cierpię jej prawdziwie. Kto to słyszał dać się lizać psu? Zdaje mi się, że bym już nigdy nie mógł bez wstrętu pocałować takiej twarzy, choćby najpiękniejszą była. A więc Guciu, śpij, chrap z całej siły, zobaczymy, co też ona wymyśli w dalszym ciągu kroków zaczepnych.

Moje przewinienia względem niej są ogromne niezaprzeczenie. Wkroczyłem do jej przedziału, nie dałem się rozczulić figielkami jej faworyta Filka, zamiast się starać o jej względy, śpię z błogim spokojem... czyż to nie dostateczne powody obrazy nie do darowania? To też z po za przymkniętych powiek widzę, że mnie obrzuca wzrokiem pełnym zawziętości i gniewu. Doskonale!

Mija kwadrans ciszy i rozmyślania. Po czem młoda osoba zwraca się żywo do matki.

— Możebyśmy co zjedli? okropnie jestem głodna.

Matka odpowiada skwapliwie:

— I owszem, moje dziecię. Koszyk nasz zaopatrzyłam doskonale, są tam kurczęta pieczone, pasztet, szynka. Poczekaj kochaneczko, nie fatyguj się, koszyk jest ciężki, ja sama go zdejmę.

— Niech mama da pokój, ojciec go dostanie.

— Najchętniej moje dziecko, tylko że to jeszcze może za wcześnie? jeszcze wcale nie jestem głodny.

PANNA.

O, to nic nie szkodzi, zje papa z nami, trudno drugi raz potem znów otwierać i rozpakowywać.

Słowa te są wypowiedziane głosem tak decydująco stanowczym, że ani można przypuścić możliwości opozycyi.

OJCIEC (nieśmiało).

Jednakże...

MATKA (z pewnem zniecierpliwieniem).

Zwierzęta nawet jedzą kiedy są głodne. Nie przypuszczam, żebyś wymagał tego, aby dziecko twoje głód cierpiało.

OJCIEC.

Ależ broń Boże! Postaram się przeciwnie zapomnieć, że mnie się jeszcze jeść nie chce.

Poczciwe człowieczysko, przywykły widać do ustępstw zabiera się do otworzenia i rozpakowania podróżnych prowiantów, rozkłada na kolanach żony i córki serwety, noże, widelce, rozbiera drób, otwiera butelki, i nie myśli wcale o sobie, zanim nie poobdziela swoich współtowarzyszek. Dalej rozpoczyna się spożywanie darów Bożych. Cóż ja mógłbym mieć przeciwko temu? Nic, zapewne... są w swojem prawie... tylko to nieszczęście, że ja nie cierpię patrzeć na jedzących w wagonie. Szczęk widelców, talerzy, zapachy zimnych mięs, chrzęst ogryzanych kości, a następnie rozsypywane po ziemi okruszyny nie podobają mi się do najwyższego stopnia. Strona przeciwna musi z boku, ukradkiem badać wyraz mojej twarzy, gdyż uważam coraz głośniejszy szczęk naczyń i wszelkich przyrządów, nareszcie następuje karmienie kochanego Filusia. Widzę jak z pod oka panienka spogląda na mnie złośliwie, mnie zatem ogarnia niczem niepowstrzymane ziewanie... ziewam też kilkakrotnie, ażeby i ona poznała, że czynię to na jej wyłączną intencyą. Rodzice tymczasem nie mają najmniejszego pojęcia o naszej skrytej walce.

OJCIEC.

Anielko, chcesz jeszcze kuropatwy?

PANNA.

Dziękuję, mam już dosyć, niech papa resztę schowa dla Luci. Gdybym za dużo jadła, to by mi już w domu obiad nie smakował. W Piotrkowie będziemy podobno o czwartej.

Anielko!!! on powiedział Anielko... obiad w Piotrkowie... Zrywam się ze snu, otwieram szeroko oczy. Czyżby to był taki szczególny zbieg okoliczności? Ależ to niepodobna! Trzeba się w tem rozejrzeć! Ojciec... wszyscy ojcowie córek na wydaniu, mniej więcej do siebie podobni. Matka... pisał mi wujaszek, że „tak sobie, dosyć zwyczajna kobieta." Tak jest rzeczywiście... A Anielka?

Przypatruję się jej uważnie... ona spostrzega to, rumieni się i wyraz zadowolenia rozlewa się na jej twarzy.

Oh, zupełnie napróżno, moja pani. Z mojej strony jest to raczej przestrach niż uwielbienie. Czyż to ma być ta młoda osoba, słodka i dobra, pełna cnót domowych, o których pisał wujaszek? Ja widzę tu przed sobą wymagającą egoistkę i niegrzeczną grymaśnicę.

Anielka, moja narzeczona! przyszła pani mojego domu? Uspokój się Guciu! może się mylisz, czyż to jednej panience w Piotrkowie jest na imię Anielka? Możesz się jeszcze mylić w swoich domysłach, Chciałbym zaiste, żeby tak było!

Powracam do poprzedniego położenia... układam się do snu... trzeba im zostawić swobodę rozmowy... może się dowiem, czy to są te osobistości, które mnie tak żywo obchodzą.

Zatem czapeczkę moją podróżną, nową, leciutką z daszkiem zsuwam na oczy, ale w ten sposób, żebym tak jak w ślepej babce widzieć mógł trochę z pod daszka... zasypiam z głową opartą na boczną poduszkę... zdaje mi się, że sen mój bardzo prawdopodobnie wygląda.

Śniadanie skończone... ojciec robi porządek w koszyku z prowiantami, żona trochę pomaga... Młoda osoba zasuwa się w swój kącik i zwolna trawi.

— Posiliłyście się dostatecznie, moje drogie?— pyta z dobrocią ojciec.

— Bardzo dobrze, dziękuję ci — odpowiada pani, patrząc z niepokojem na córkę, czy też i ona równie zadawalniającą da odpowiedź.

— Tak papo, doskonale, czy papa już wszystko dobrze popakował? A ty Filku mój najdroższy, czy nie jesteś głodnym, pieszczoto ty moja, moje ukochanie!

Filek odpowiada swoim właściwym sposobem, kręcęc wesoło ogonkiem, poczem idzie się położyć koło starego pana.

MATKA.

Czy będziesz robiła twoją szydełkową robótkę Anielciu, czy mam ją zapakować?

PANNA.

Niech mama zapakuje... jestem trochę zmęczona... a zresztą Lucia ją skończy.

OJCIEC.

Niezawodnie, że ją skończy. Lucynka jest bardzo pracowita, a przytem lubi zawsze przysługę oddać każdemu, zwłaszcza swojej siostrze.

Co słyszę? Anielka... Lucynka!!!

MATKA.

Anielka równie jest pracowitą jak Lucia...

Anielka rusza ramionami i spogląda ku mojej stronie. Ja śpię, oddychając miarowo.

PANNA (pół głosem).

Jak to grzecznie tak spać w obecności starszych osób, jakby był w swoim pokoju.

OJCIEC.

Ciszej kochaneczko... a gdyby cię usłyszał.

PANNA (głośniej).

Niech słyszy... nie zaszkodziłaby mu porządna nauka... Nie mógł pójść sobie do innego wagonu? Jemu przedewszystkiem nasz przedział się spodobał.

OJCIEC.

Ale, moje dziecię, nie wiem, czego ty od niego chcesz. Mnie się ten młody człowiek wydaje bardzo przyzwoity i dobrze wychowany. Wszakże sen nikomu nie jest wzbroniony w podróży? Przecież nic niegrzecznego nie zrobił.

MATKA (głosem obrażonym).

Jeszczeby też tego brakowało! Masz szczególniejsze wyobrażenie o przyzwoitości, mój drogi mężu. W jaki sposób mógł był ten nieznajomy córce naszej, pannie Godzięblance ubliżyć?

Pannie Godzięblance!! a więc to oni! to ci sami!

PANNA.

Jabym też sama potrafiła doskonale postawić go na właściwem miejscu, bez niczyjej pomocy.

Jakim to ostrym głosikiem było powiedziane!

OJCIEC.

Oh! jeżeli zaczniecie z tej beczki, to już ja nic nie powiem.

PANNA.

To może i lepiej, nie psuć sobie krwi na próżno. Mamo, może przejrzymy jeszcze nasze sprawunki wczorajsze?

MATKA.

Czyżbyś chciała wszystko rozpakowywać?

PANNA.

Cóż to wielkiego? Mama znów zapakuje.

MATKA.

Zresztą, jak chcesz to rozpakuj. Ale cóż to za ruch niesłychany w tych sklepach warszawskich! to się aż w głowie przewraca!

PANNA.

Ale gdzie tam, nic się nie przewraca. Nic nie ma przyjemniejszego pod słońcem. Siedziałyśmy ze dwie godziny u Makowskiego na Teatralnym placu, wybierając materye dla mamy i dla mnie, a czas ten wydał mi się jedną krótką chwilką. To prawdziwa rozkosz widzieć tyle pięknych barw i odcieni, atłasów, aksamitów i materyj. Chciałoby się wszystko zabrać nieledwie! Oho! jak pójdę zamąż to dopiero będę używać! Gdziekolwiek mieszkać będę, na wsi czy w mieście, muszę być zawsze najpiękniej ze wszystkich ubraną!

Co za szczytne zamiary! Dziękuję ci moje dziecię, że mnie o nich w prawdziwej szczerości serca uprzedzasz.

(Dokończenie nastąpi).

Święto wiosny.

„Błogosławionyś pierwszy dniu wiosny!"—woła poeta stepowy. A z nas któż choć raz w życiu nie zjednoczył się z nim w uczuciu, którego ten okrzyk jest wyrazem? Kto nie poddał się ni razu czarowi powstającej ze snu zimowego przyrody?

Stare to dzieje tego radosnego uczucia, które ku wiośnie, nawet w najbardziej znużonej i smutnej duszy jeszcze jakimś słabym i cichym dźwiękiem się odzywa. Cóż dopiero mówić o świeżych, młodych, silnych?

One są w stanie najlepiej zrozumieć, najgłębiej odczuć radość przyrody budzącej się do życia. Do nich słowik swoją słodką pieśnią, kwiaty barwą i wonią, drzewa listków młodych szmerem, wody czyste i chłodne szumem potężnym, do nich przyroda cała głosem radosnym przemawia o miłości, o szczęściu, o życiu.

Przed wiekami na całym obszarze ziemi aryjskiej święcono „błogosławiony, pierwszy dzień wiosny" i prawdopodobnie święcili go przedewszystkiem młodzi. Pomiędzy nimi też przechowały się do dzisiaj ułamki starodawnych obrzędów, którymi uroczystość tę obchodzono. Znaczenie tych ceremonii poszło w niepamięć, ale uczucie, którego były wyrazem przetrwało, i przez nie żyją one dotychczas po rozmaitych zakątkach, śród narodów romańskich, germańskich, słowiańskich, celtyckich, i gdyby innych dowodów zabrakło, same jedne służyćby mogły za wskazówkę blizkich związków krwi łączących wszystkie te ludy.

Oto w jaki sposób podług Józefa Bedier odbywała się we Francyi w wiekach średnich uroczystość święcenia wiosny. W noc pierwszego Maja gromadki chłopców i dziewcząt przystrojonych biało udawały się do lasów, na pola, by nazbierać świeżych ziół, kwiatów, młodych gałązek okrytych pąkami, jednem słowem, by *narwać Maju* (querir le Mai). Lasy i pola rozbrzmiewały śmiechami i pieśnią wesela. Nad ranem wesoły orszak powracał do wioski, i zdobytemi łupami przystrajał drzwi i okna chat. Ulubionej swojej kładł chłopiec na okienku gałązki myrtu, dębu, bluszczu, rezedy. Dziewczę nie używające w wiosce dobrej opinii znajdowało na swojem oknie gałązki topoli, ciernie, albo uschłe pręty. Czasem także dostrzegało słomą wysypaną ścieżkę wiodącą od chaty jej, do chaty domniemanego kochanka. Była to noc śmiechów, figlów, wesołości. W niektórych okolicach powracający z lasu orszak zatrzymywał się przed każdą chatą, i wesołą piosenką budząc ze snu gospodynię, upominał się u niej o datek. Datki te w późniejszych zwłaszcza czasach obracano na przyozdobienie ołtarza Matki Boskiej.

Piosenka śpiewana w podobnych okolicznościach zaczyna się następującą strofą:

„La maitresse de ceans,
Vous qui avez des filles,
Faites les se lever, promptement
Qu'elles s'habillent.
Vers ell's nous venons à ce matin frais,
Chanter la venue du mois de Mai.

Do jakich rozmiarów dochodził w wiekach średnich zwyczaj rwania majowych gałązek, dowodzi dokument z roku 1257, w którym Ludwik Święty zabrania na uroczystości wiosenne niszczyć lasów, stanowiących własność jakiegoś biskupstwa. Karta z tego samego wieku, nadająca pewnej gminie pośród innych przywilejów prawo swobodnego zrywania zieleni majowej w lasach seigneuralnych, stwierdza również istnienie powszechne tego zwyczaju. Nie na tem jednakże ograniczały się uroczystości wiosenne. Te t. zw. „maieroles" obchodzono przedewszystkiem tańcami, którym towarzyszyły śpiewy tradycyjne lub improwizowane w danej chwili. Taniec zwał się „la carole." Kręcono się przy nim w lewo.

Przewodniczący a częściej przewodnicząca zaczynała śpiewać. Reszta zgromadzonych odpowiadała chórem. Śpiewki te, o ile wnosić można z drobniuchnych ułamków, które przetrwały do naszych czasów, lub z pieśni truwerów, którzy jak twierdzi Gaston Paris w Journal des Savants, pierwotne ludowe temata poddawali artystycznemu obrobieniu, wyrażały radość wobec budzącej się wiosny i uniesienie miłosne. Charakterystycznem jest np., że do tanecznego koła przewodnicząca wzywa tylko zakochanych, inni nie mają prawa brać udziału w radości wiosennej.

W niektórych okolicach zerwane w nocy gałęzie i krzewy obnoszono uroczyście po całej wiosce, następnie wsadzano je w ziemię, a w noc św. Jana te same trofea wiosenne płonęły na stosach. Za prastarych pogańskich czasów obyczaj ten miał prawdopodobnie głębokie, symboliczne znaczenie; był obrazem procesów przyrody, obrazem wegetacyi wiosennej, którą lato zapładnia i pali.

Zresztą, jak powiedzieliśmy wyżej, ułamki tych obrzędów spotkać można prawie wszędzie. W Wandei wieśniacy dotychczas w dniu 1-ym Maja sadzą na swoich śmietnikach gałęzie tarniny, a to w celu zabezpieczenia zboża w stodołach od kiełkowania.

W Saintonge chłopiec, który pragnie być pokochanym, bierze kąpiel majową t. zw. „aiguaille de Mai," to jest w nocy 1 Maja kąpie się w rosie wiosennej.

Mityczno-religijny charakter ma następująca ceremonia, z którą także w dniu 1 Maja spotkać się można w różnych okolicach. Chłopiec przybrany zielonymi liśćmi kładzie się na trawie, i udaje śpiącego. Przychodzi dziewczyna, i budzi go pocałunkiem. Był to kiedyś zapewne symbol mistycznych zaślubin ziemi ze słońcem lub czegoś w tym rodzaju.

W starej poezyi prowansalskiej znajdujemy dowody, że nietylko lud ale i wyższe sfery społeczne święciły święto wiosny. Szczególniej rozpowszechnionym był, jak się zdaje, zwyczaj obierania królowej Maja. Zostawała nią rozumie się najpiękniejsza w wiosce czy okolicy dziewczyna. W górach Jura zwano ją „reine de Mai," w Cote d'or „belle de Mai," w Prowancyi „Maya." I po za granicami Francyi spotykamy się z tą nazwą. Niemiecka „maikönigin," angielska „milady of May" wskrzeszona na niektórych pensyonatach żeńskich przez marzyciela Ruskina, świadczą, że był czas, kiedy i w tych krajach podobnymi zupełnie obrzędami obchodzono święto wiosny.

Wśród ludu naszego, przechowującego wiernie prastare obyczaje, znaleść można niejeden ślad przedchrześciańskich wierzeń i obrzędów.

Wiosna zwłaszcza jest porą, w której odbywają się po wsiach najrozmaitsze, dla nas już dziś niezrozumiałe obchody: dyngus, śmigus i t. p.

Niektóre z tych szczątków oddawna pod mogiłą śpiącej przeszłości, w sposób uderzający przypominają ceremonie, których widownią bywała w wiekach średnich, a poniekąd jest i dziś jeszcze Francya. Przypomnijmy sobie tylko jak to w uroczystość Zesłania Ducha Świętego, która nietylko w ustach ludu ale i inteligencyi nosi dotąd nazwę „Zielonych świąt," dziewczęta nasze zielonemi gałęziami, bukietami rozkwitłego bzu przystrajają ściany chat, a podłogę i dziedziniec wysypują pachnącym tatarakiem. Przypomnijmy sobie, że w ten sposób zielenią wiosenną przyozdobiona chata zowie się „umajoną," a idea wspólności pochodzenia ludów aryjskich, o której zresztą nikt z ludzi wykształconych nie wątpi, przedstawi nam się w wyraźniejszym jeszcze kształcie.

Jednym z takich szczątkowych objawów dawnego kultu wiosny jest prawdopodobnie także rozpowszechniony u nas zwyczaj przybierania święconego zielonemi gałązkami borówek. Czynność tę wykonywają zwykle dziewczęta.

Jeżeli zwrócimy się ku starożytności, ku Grecyi i Rzymowi, znajdziemy tam święta wiosny obchodzone urzędownie. Atyckie „Targelie," łacińskie „Floralia" poświęcone Wenerze, formą i treścią odpowiadają galijskim „Maieroles," słowiańskim „Zielonym świętom" i t. d. W Atyce królowę wiosny przedstawiał przebrany za kobietę efeb, który zawieszał zielone gałęzie na drzwiach domów i świątyń.

W tym krótkim, pobieżnym szkicu, opartym na źródłach francuzkich, niepodobna nam było dać dokładnego obrazu zwyczajów, które pozostały ludom Europy w spuściźnie po ich przodkach, czcicielach wiosny, czcicielach przyrody. Bez wątpienia obraz taki byłby niesłychanie zajmującym, i z tego jednak co powiedzieliśmy tutaj, można przy pomocy wyobraźni odtworzyć sobie ową przeszłość zamierzchłą, kiedy to, jak powiada poeta: na ziemi staroświeckiej.

„Dzisiejsze dziwy dziwami nie były:
Grały widomie niewidome siły
I pilnowały człowieka, jak dziecka,
W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, [pod wodą,
Krewne współczucie ludzie znajdowali;
Bo nie gardzili naówczas przyrodą,
Bo ją jak matkę znali i kochali."

Kochali—jest wyrażeniem zbyt słabem. Ubóstwiali — należałoby powiedzieć, panowała bowiem w owe mroczne czasy w pełnem znaczeniu tego słowa religia przyrody.

Znakomity uczony niemiecki Wilhelm Mannhardt w dziele swojem „Baum und Feldkulte" nazywa święto wiosny epizodem wielkiego mytycznego dramatu, którego dalsze akta stanowią święta żniw i uroczystości grudniowe.

Dochowane w niektórych stronach Europy zwyczaje ludowe o których mówiliśmy wyżej, uważa autor ten za szczątki owej wielkiej religii przyrody, wydumanej przez Aryów gdzieś w głębiach Azyi środkowej, w pierwotnej, wszystkim tym pomarłym ojcom naszym wspólnej siedziebie. Oni to ubóstwili ową „Maję," naturę, świat kształtów, w wyobrażeniu naszem rzeczywisty, w ich będący tylko złudzeniem zmysłów, rozwiewną szatą, którą przybiera na siebie duch, przenikający wszechświat.

F.

Sanatorya.

Do ostatnich niemal czasów traktowała nauka lekarska suchoty płucne jako chorobę bezwarunkowo nieuleczalną. Każdy tak zwany ogólnie używanym terminem, suchotnik, uważany był za straconego, starania nauki ograniczały się w tym wypadku do możliwego odwlekania tragicznego końca, a przeto do oszczędzania choremu nadmiernego utrudzenia, nagłych zmian temperatury, przedewszystkiem zaś do unikania surowszego klimatu.

Zarówno jak u starożytnych, starała się medycyna ostatniej nawet epoki o wysyłanie swoich cierpiących na płuca w strony południowe, na zimowe miesiące roku.

Pojedyńcze tu i owdzie zaszłe wypadki uzdrowień suchotników, uważano za ocalenia cudowne, zwykły bowiem w tej chorobie stosunek uleczonych do zmarłych, przedstawiał się jak 5 do 100.

Bardzo to świeżej daty są opinie lekarzy utrzymujących, iż czyste, pozbawione zarazków powietrze oddziaływać może na stan zdrowia suchotników uzdrawiająco, i że ostatecznie na tego właśnie rodzaju traktowaniu chorych tuberkulicznych leczenie ufundowaćby można. Na tym poglądzie opierając się, założył jeden z lekarzy pierwsze sanatoryum w Gerbersdorfie, ale tutaj system leczniczy powstały na drodze czysto empirycznej, zdobyczą dla nauki nie okazał się żadną.

Dopiero odkrycie baccyllusa tuberkulicznego pozwoliło utworzyć metodę na pewnej podstawie i stwierdzić fakt, że tuberculosa jako choroba zaraźliwa, nie jest bardziej nieuleczalną od innych tej samej natury cierpień. Odtąd, zniszczyć mikroba, znaczyło zniszczyć źródło choroby i powstrzymać jej rozwój.

Nie mało przyczyniły się do utwierdzenia lekarzy na nowej drodze autopsye dokonywane na osobach zmarłych śmiercią nagłą, albo wskutek późnego wieku.

Odnajdywane w płucach tych zmarłych zabliźnione kawerny tuberkuliczne przekonywały lekarzy, że odbywała się u tych indywiduów w swoim czasie walka między żywotnością organizmu, a zniszczeniami szerzonemi przez pasożyta, i że ostatecznie organizm z tej walki wychodził jakimś sposobem zwycięzko.

Szło tedy o metodę prowadzenia takiej walki — o dopomaganie organizmowi, który zawsze dąży do ocalenia jednostki.

Tym sposobem powstała aeroterapia i oparte na niej sanatorya Niemiec i Szwajcaryi. Już od roku 1863 ulepszenia szły za ulepszeniami, powstawały zakłady nowe jak w Falkenstein pod Frankfurtem — w Davos — w Leysin w Szwajcaryi.

Obecnie zakładają sanatorya Austrya i Norwegia. Francya i Belgia razem wzięte mają przeciętnie 500,000 chorych dotkniętych tuberkulicznem cierpieniem, tłumy też całe śpieszą do sanatoryów z nadzieją w sercach, a nadzieje te nie są zawodne, więcej bowiem niż 50 procent chorych przy dzisiejszych środkach, jakimi rozporządza metoda, powraca ztamtąd uzdrowionych.

Zależy to wszystko rozumie się od stopnia do jakiego doszło złe, i od ogólnego stanu zasobów obrony, jakimi rozporządza jeszcze organizm. Oprócz powietrza walczy tu nauka odżywianiem umiejętnem i ćwiczeniami ciała odpowiedniemi.

Obecnie zabiera się Francya do zakładania u siebie sanatoryów z wielką gorliwością, a nie brak jej w Pireneach, Wogezach i Ardennach miejscowości obdarzonych idealnymi prawie do tego celu warunkami.

K.

Wskazówki i rady.

LIKIER POZIOMKOWY.

Wsypać w gąsiorek pełno dojrzałych zupełnie poziomek, nalać spirytusem 94% i zostawić w cieniu w pokojowej temperaturze na dni 3. Zrobić syrop, biorąc 2 i pół funta cukru na kwartę zlanego z poziomek spiryrusu, raz lub dwa razy go zagotować, wyszumować i rozbierać powoli w rondlu gorący zlanym spirytusem, mieszając łyżką.

Spirytus można poprzednio przefiltrować przez bikułkę szwedzką, bo z cukrem trudniej. Maleńki czarny osad, który się pokaże na wierzchu na likierze, zaraz łyżką zebrać, a likier będzie czysty zupełnie. Używać za pół roku.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Nowe książki

NADESŁANE REDAKCYI „TYGODNIKA."

Nakładem Michała Arcta:
Encyklopedyi Powszechnej zeszyty I—IV.
Wydawnictwo komitetu damskiego:
Konie gospodarkie.
Marya Weryho, Dla Józi powiastki.

Odpowiedzi od redakcyi.

Adres wskazany w samej wzmiance. Przez Nimes w Violas.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

7. KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 7.

Krakowskie-Przedmieście 7.

TEOFIL WEISS & S-ka

polecają

Jedwabie chiné,
Barège mosambique,
A lpagi gładkie i fantaz.
Etaminy.

Nowości Paryskie,

Wełny chiné,
Lawn-tennis,
Wełny melangée,
Wielki wybór wełn czarnych.

45822

Krakowskie-Przedmieście 7.

7. KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 7.

RĘKAWICZEK

NAJWIĘKSZY WYBÓR

Letnich i Skórkowych

Chmielna 3, m. 20 (I piętro). 454130

4135 **Wszystkie Książki i Nuty** przez kogobądź wydane, posiada lub dostarcza prędko i **prenumeraty** przyjmuje Księgarnia i Skład Nut **Maurycego Orgelbranda** w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika. **Katalogi i Prospekty bezpłatnie.** Tamże **Wypożyczalnia** (czytelnia) **Książek** polskich i francuzkich.

Wydawnictwo MAURYCEGO ORGELBRANDA w Warszawie.

Od dnia 15 Grudnia 1893 r., wychodzi zeszytami w odstępach 15-to dniowych:

Geografia powszechna illustrowana

Amanda Schweiger-Lerchenfelda.

Przełożył i uzupełnił **Dr Karol Jurkiewicz,** b. Profesor Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu.

Geografia powszechna illustrowana wyjdzie w dwóch tomach wielkiego formatu, obejmujących około 1,100 stronnic, z 500 blizko illustracyami w tekście, na wytwornym papierze, drukiem nowym, czystym i wyraźnym. Dla ułatwienia nabycia, wychodzi zeszytami, w liczbie około 45, ukazującemi się co dni 15 po cenie 25 kop. za zeszyt, pocztą kop. 30. Opłacający z góry za całe dzieło rs. 10 lub w dwóch ratach po rs. 5 (przy zapisaniu się i przy odbiorze 15 zeszytu) otrzymają dzieło kompletne, bez względu na liczbę zeszytów.

Za przesyłkę pocztową dopłaca się rs. 2 za całe dzieło. Prenumerujący pocztą, a nie opłacający z góry rs. 12 lub w dwóch ratach po rs. 6 razem z przesyłką, mogą nadsyłać po rs. *dwa* lub *trzy*, a otrzymają za tę kwotę odpowiednią ilość zeszytów. Prenumeratorowie pocztowi otrzymywać będą miesięcznie po 2 zeszyty razem. 4114

JÓZEF SKWARA

14. NIECAŁA 14.

(Pierwszy dom od Ogrodu).

Poleca nowe fasony okryć damskich, peleryny od rs. 5, żakiety od rs. 12, burki Himalaja od rs. 15, rotundy empire od rs. 19, barankowe od rs. 30, oraz znajdujący się w magazynie na składzie zapas materyałów krajowych i zagranicznych, praktycznych i modnych, z których przyjmuje zamówienia i wykonywa w jak najkrótszym czasie. 45036

5. ŻABIA 5.

NOWY MAGAZYN GŁÓWNY

R. DĄBROWSKI.

Poleca po cenach nizkich największy wybór Kapeluszy Damskich i Dziecinnych, oraz Kapotek ubranych najwykwintniejszym gustem. 44833

ZAKŁAD FORM PAPIEROWYCH

PARYSKICH

„MAISON PHENIX"

ulica Niecała Nr 12, w Warszawie.

otrzymał na bieżący sezon świeże eleganckie modele okryć damskich. W tymże zakładzie udzielają się lekcye kroju metodą francuską i przyjmuje się wszelka krawiecczyzna, wykonywana podług najwykwintniejszych żurnali paryskich.

Zakład egzystuje od roku 1870. 45123

Woda Mexico



WSTRZYMUJE *wypadanie* **włosów**

PUDER WARSZAWIANKA.



PUDER WARSZAWIANKA.

13 TŁOMACKIE SKŁAD GŁÓWNY

Woda Kolońska LUBELSKA Feliksa Waręskiego.

Dostać można w składach aptecznych i perfumeryach.

442152

BIURO NAUCZYCIELSKIE

Felicyi Ginejko przy zakładzie froeblowskim *Jadwigi Chrząszczewskiej*

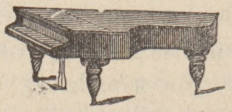
w Warszawie, Nowy-Świat Nr 21. 45233

Biuro Nauczycielskie

JADWIGI JAHOŁKOWSKIEJ

nauczycielki 2-go gimnazyum. Szkoła Froeblowska. **W Warszawie, Wspólna 40.** 3392026

Warszawa, Mazowiecka Nr 16,



Największe W KRAJU SKŁADY

FORTEPIANÓW,

PIANIN *I ORGANÓW*

HERMAN GROSSMAN

FILIE:

St-Petersburg *ul. MORSKA 33,*

MOSKWA Kuzniecki Most,

LUBLIN Królewska Nr 207.

SPRZEDAŻ NA RATY po rs. 25 miesięcznie.



Wynajem.

Illustrowane katalogi gratis. 45916

Warszawa, ulica DŁUGA № 5.



TELEFONU № 772.

WINA ZAGRANICZNE,

Koniak „IMPERIAL."

Wybór wielki.—Ceny najniższe. 417826

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga **REUSSNERA:**

Najlepsza Metoda

do nauczenia się **BEZ NAUCZYCIELA** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w **3**-ch **MIESIĄCACH,** po angielsku w **24**-ch **LEKCYACH.** Cena metody niemieckiej kurs niższy 60 k. — kurs wyższy rs. 1 k. 60. Komplet (oba kursa) **tylko 2 rs. METODA ANGIELSKA** z wymową kurs I k. 75, kurs II rs. 1 k. 20, komplet rs. 1 k. 70. „SAMOUCZEK" **POLSKO-FRANCUZKI** z wymową 37 zeszyt. po 15 k. **NAJLEPSZE ELEMENTARZE: POLSKO-NIEMIECKI i RUSKO-NIEMIECKI** z wymową, z 14 wzorkami, kop. 35, 20 i 10. **POLSKI** kop. 25, 15 i 4.

Na przesyłkę pocztową dopłata do każdego rubla po kopiejek 20. Skład główny u autora (Reussnera) **ZŁOTA 6,** w Warszawie. 418624

M. POZZI

ZEGARKI i BIŻUTERYA

przyjmuje zamówienia i reperacye oraz złocenia i srebrzenia. 3412326

Nowy-Świat 31 (róg Chmielnej).

Дозволено Цензурою. Варшава 7 Мая 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**